

Chcę zabrać cię do miejsca, w którym zawsze jest północ, a czarne irysy lśnią pod krwawiącym księżycem...

ETHAN

Obudziłem się z ciężkim wrażeniem, że mój mózg przez noc zamienił się w ołów. Znowu ten sen.

W sumie nic nowego, prawda? Od dwunastu lat śni mi się ten ohydny potwór. Można by pomyśleć, że teraz, kiedy miałem szesnaście lat, dziecięce koszmary powinny zostawić mnie w spokoju. Gdyby kryło się w nich jakieś dodatkowe znaczenie, powinienem chyba już je odnaleźć. Na pewno.

Dźwięk przedarł się przez tępe pulsowanie w mojej głowie. W pierwszej chwili wydało mi się, że to Dillon. Czasem wpadał przed szkołą i razem szliśmy do autobusu. Ale wtedy uświadomiłem sobie, że jest niedziela. Do mojego powoli budzącego się mózgu zaczęło docierać, że ten żaloszny dźwięk dochodzi z sypialni rodziców. To mama. Płakała, a jej szloch stawał się coraz bardziej gwałtowny, chociaż byłem pewien, że stara się stłumić go poduszką.

Z jękiem zwlokłem się z łóżka i założyłem dzinsy. Pod drzwiami mamy wziąłem głęboki oddech. Kiedy ostatnio tak zaczęła płakać, nie mogła się uspokoić przez trzy dni. Otwierając drzwi, rozejrzałem się za tatą, ale nie zaskoczyło mnie, że nie było po nim śladu. Kiedy odzywała się depresja mamy, zawsze był pierwszy do ucieczki.

Zobaczywszy mnie, próbowała wytrzeć twarz rękawem prześcieradła. Udało się jej uśmiechnąć mimo łez i zaczerwienionych oczu, ale zdołała się opanować tylko na króciutki moment, po którym jej twarz znowu zgasła.

– Daj mi herbaty – jęknęła.

Skinąłem głową i po cichu wyszedłem, z ulgą przyjmując, że mogę zrobić coś pożytecznego.

Zastałem tatę w kuchni, siedzącego przy stole z założonymi nogami i wpatrującego się w pusty kubek po kawie. Jego apatia trąciła we mnie jakąś strunę.

– Co tym razem nakręciło mamę? – zwróciłem się do niego.

Nadal wpatrywał się w kubek, ja także się nie poruszyłem. Cisza zaczęła nieznośnie dzwonić w uszach.

– A musiał być jakiś powód? – odparł w końcu.

Miał rację: nie musiało być powodu, ale nie zamierzałem tego przyznawać.

– O ile wiem, miała koszmarne sen – dodał.

– Co, ona też?

Tata rzucił spojrzenie w moim kierunku. Świetnie, jakaś reakcja – pomyślałem, ale zaraz wrócił do gapienia się w pusty kubek po kawie. Próbowałem sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni rozmawialiśmy normalnie, ale nie musiałem się nadmiernie wysilać, żeby znaleźć przyczynę.

Początkiem wszystkich problemów była nagła śmierć mojej siostry Sery. Ale kiedy się skończą?

Mama czekała. Przygotowałem więc herbatę, tak jak lubiła, z odrobiną miodu, i zaniósłem jej. Wyglądała lepiej. Biorąc kubek, obdarzyła mnie dzielnym, bladym uśmiechem. Przez chwilę rozmawialiśmy o różnościach, a kiedy miałem pewność, że wszystko z nią OK, zostawiłem ją samą.

Z powrotem w swoim pokoju uświadomiłem sobie, że wpatruję się w budzik przy łóżku, jakby krył w sobie wszystkie odpowiedzi potrzebne mojej rodzinie do uleczenia ran duszy. Wiedziałem, że to tylko budzik, zrobiony głównie z drewna i szkła, ale kupiłem go kilka lat temu na jakimś pchlim targu, uderzony myślą, że zanim go znalazłem, prowadził całkiem inne życie, w jakimś innym domu, budząc każdego ranka kogoś innego.

Nie miałem świadomości, jak intensywnie się w niego wpatruję, dopóki wskazówki nie oszalały, wirując coraz pręcej i pręcej, napędzane frustracją, jaką pod świadomie uwolniłem ze swojej głowy. Nagle cały budzik zaczął się poruszać, unosząc się ze stołu i obracając w powietrzu. Robiłem podobne rzeczy wiele razy – poruszanie przedmiotów jest jednym z moich talentów – ale nigdy z taką gwałtownością. Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, że tracę kontrolę. Byłem całkowicie zaskoczony, gdy budzik zaczął wykręcać salta, podnosząc się aż pod sufit. W końcu eksplodował.

Zasypały mnie kawałeczki drewna, metalu i szkła. Musiałem je sprzątnąć, zanim mama, albo nawet tata, wpadną rzucić okiem.

Mama była pierwsza.

– Co się stało? – zapytała od drzwi, wciągając rękaw szlafroka. – Myślałam, że wybuchła tu bomba. – Jej wzrok spoczął na szczątkach na podłodze. – I tak właśnie to wygląda. Nic ci nie jest, Ethan?

Popatrzyłem na trzymane fragmenty budzika.

– Strasznie przepraszam, mam. Upuściłem budzik.

Zmrużyła lekko oczy, oceniając liczbę drobnych szczątków.

– Stojąc na suficie?

Wzruszyłem ramionami, uśmiechając się głupio.

– No nic, dopilnuj tylko, żeby na podłodze nie zostały żadne ostre odłamki.

Zapewniłem ją, że posprzątam, zanim wyjdę, więc zostawiła mnie, żeby wziąć prysznic.

Przynajmniej wyglądała trochę lepiej. Pozamiatiałem resztę bałaganu i skończyłem się ubierać. Zastanawiałem się, jak mój ojciec mógł przez cały ten czas siedzieć nieruchomo przy kuchennym stole i gapić się w kubek po kawie, gdy kilka metrów od niego wybuch wstrząsnął sypialnią jego syna.

Kilka minut później wyszedłem z domu. Z ulgą skierowałem się prosto na Górę, do miejsca, które stało się moim sanktuarium. Powiedzenie, że otworzyło przede mną nowy świat, byłoby poważnym niedoszacowaniem. To miejsce stanowiło nowy świat.

Po raz pierwszy poszedłem na Górę, kiedy miałem cztery lata. Niewiele pamiętam z tamtego dnia poza długą, skalistą drogą i tym, że próbowałem uciec przed tatą, który wtedy, na samym początku, nie chciał spuścić mnie z oka. Ale niebawem odrętwienie ogarnęło go już na stałe.

To właśnie na tych wzgórzach, ukrytych głęboko wśród południowo-zachodnich stoków Wielkich Gór Wododziałowych, znalazł mnie Arkarian. Przez wiele dni opowiadał mi o wyzwaniach, wielkich przygodach i mocach przekraczających granice mojej wyobraźni. Aż pewnego dnia ten dziwny mężczyzna o szafirowych włosach i niesamowitych oczach wziął mnie za rękę i zaprowadził do wnętrza Góry.

Oczywiście Arkarian nie wydawał się aż tak dziwny, kiedy już przyzwyczaiłem się do jego osobliwej powierzchowności. Jego włosy miały kolor szafirowy, a oczy były fiołkowe tylko dlatego, że jedne i drugie zmieniły kolor z upływem czasu. A upłynęło wiele czasu. Nie postarzał się nawet o jeden dzień, chociaż znałem go od dwunastu lat. Jego ciało przestało się starzeć w dniu, w którym skończył osiemnaście lat.

Arkarian nadal był ode mnie wyższy, chociaż różnica przestała być aż tak wyraźna. Miał w sobie coś szczególnego. Po części kryło się to w sposobie mówienia – łagodnym i stanowczym, ale pozbawionym arogancji. Po części w fiołkowych oczach, które potrafiły bez słów przekazać wiele rzeczy. W ciągu tych kilkunastu lat zaprzyjaźniliśmy się. Przez pierwsze pięć lat byłem jego Uczniem – nadal zresztą pozostawał moim bezpośrednim przełożonym. Nauczył mnie więcej, niż zdołałem się przez cały ten czas nauczyć w mojej ziemskiej szkole.

Kamienna ściana zniknęła, kiedy przed nią stanąłem, i zmaterializowała z powrotem, gdy tylko zrobiłem krok do środka. Idąc oświetlonym słabym blaskiem korytarzem, usłyszałem głos Arkariana:

– Szukałem cię, Ethanie.

W korytarzu było wiele drzwi: część prowadziła do sal treningowych, części nigdy nie otwierałem. Arkarian mówił, że zmieniały się często, więc nie było sensu zaglądać, dopóki nie potrzebowało się konkretnego pomieszczenia. A ja szybko nauczyłem się, że ciekawość niekoniecznie jest dobrym przewodnikiem.

Dotarłem do głównej komnaty Arkariana, gdzie jak zawsze zachwyił mnie niezwykły, zaawansowany technologicznie sprzęt, nieistniejący jeszcze w świecie śmiertelników.

– Bardzo śmieszne, Arkarian. Wiedziałeś, że przyjdę. Wiesz wszystko.

Spojrzał na mnie z przeciwnej strony sali i roześmiał się krótko.

– Pochlebiasz mi, Ethanie, ale musisz pamiętać, że nie da się wiedzieć wszystkiego – jego oczy wpatrywały się w moje, oceniał mnie. Szybko zauważył ciemne kręgi. – Miałeś kolejny koszmar?

Wzruszyłem ramionami, gapiąc się w trójwymiarową holograficzną sferę na środku ośmiobocznej komnaty. W tym momencie zawierała doskonały obraz pałacu westminsterskiego w

Londynie, o ile się nie myliłem, z czternastego wieku. Mój koszmar wydawał się nadal zbyt świeży i nie byłem gotów, żeby opowiadać o mamie. Jej depresja się nasilała, a moje serce krajało się na myśl o tym. Wskazałem ruchem głowy sferę.

– Który to rok?

Arkarian podszedł, taktownie nie wracając do poprzedniego tematu. Machnął ręką w stronę sfery.

– 1377. Twoja następna misja. Ale nie dlatego cię wezwałem. Siadaj, Ethanie.

Brzmiał poważnie. Znałem ten ton głosu.

– Nie martw się! To dobra wiadomość.

We wskazanym przez niego miejscu pojawił się zabytkowy drewniany stołek. Posłusznie siadłem na nim okrakiem i czekałem, zaplatając ręce. Po raz kolejny pomyślałem o miłości, jaką Arkarian darzył wszystko, co staroświeckie.

Patrzył na mnie przez minutę z lekko pochyloną głową. Dzisiaj jego szafirowe włosy podtrzymywała opaska. Sprawiała, że oczy wydawały się bardziej fiołkowe.

– Zostałeś awansowany.

Zerwałem się z miejsca i podskoczyłem wysoko.

– Super!

To była fantastyczna wiadomość. Nawet więcej. Odkąd tylko pamiętałem, Straż była całym moim życiem. Przez większość czasu stanowiła dla mnie także dom i schronienie. Nie chodziło o to, że w moim ziemskim domu nie było bezpiecznie, ale było... nieprzyjemnie i, no cóż, po prostu ponuro.

Arkarian uśmiechnął się: wiedział, jak bardzo zależało mi na tym, żeby zostać docenionym. Nikt nie pracował tak ciężko, jak ja. Oddałbym Straży własną duszę.

– Trybunał jest niezwykle zadowolony z twojej działalności. W przyszłym miesiącu, podczas ceremonii w Atenach, masz zostać powołany na pełnoprawnego członka.

Trudno mi było uwierzyć w jego słowa.

– Pełnoprawnego członka?

Skinął głową, nadal uśmiechając się do mnie, zadowolony z mojej reakcji.

– Ale czekaj, Ethanie, jest coś jeszcze.

Co jeszcze mogło być, chyba że...? Wyciągnąłem rękę i chwyciłem go za ramię, jakbym chciał go podtrzymać, chociaż to ja potrzebowałem wsparcia.

– Chcesz powiedzieć, że zostanę nagrodzony zdolnością lotu?

Odwrócił na moment wzrok i w tym momencie zrozumiałem, że jego słowa mnie rozczarują. Odwzajemnił znów moje spojrzenie i odezwał się łagodnie:

– Na razie nie dostaniesz skrzydeł, Ethanie. Musisz być cierpliwy.

Ale rozczarowanie, spotęgowane koszmarem ostatniej nocy i depresją mamy tego ranka, uderzyło mnie jak fala powodziowa wdzierająca się do doliny. Gwałtownie uniosłem ręce, domagając się wyjaśnień.

– Daj spokój, Arkarianie! Przecież zakończyłem naukę całe wieki temu i od co najmniej dziesięciu lat jestem aktywnym członkiem Straży.

– Tak, ale zaczynałeś jako małe dziecko.

Skinąłem głową, potwierdzając to.

– Ale słyszałem o takich, którzy dostali je lata wcześniej niż ja.

– Oni byli gotowi, ty nie – powiedział wprost.

Jęknąłem i opadłem na siedzenie, uświadamiając sobie, że nie mogę nic zrobić. Nic ponad to, co już robiłem – ponad ciągle udowadnianie swojej wartości.

– To jaka jest ta druga wiadomość?

Odetchnął z ulgą, przywołał do siebie pasujący stołek i usiadł naprzeciwko mnie, tak żeby nasze oczy były na jednym poziomie.

– Zostanie ci przydzielony Uczeń.

Musiałem to przetrwać przez całą minutę. Znaczenie tego zaszczytu w końcu do mnie dotarło, powodując, że znowu się zerwałem i zacząłem przemierzać pozbawioną okien podziemną komnatę, boksując powietrze.

– Ucznia! Własnego?

Arkarian wodził za mną wzrokiem. Kiedy zatrzymałem się i spojrzałem na niego, szukając potwierdzenia, łagodnie skinął głową i uniósł brwi.

Skoro Trybunał obdarzył mnie taką odpowiedzialnością, to musiało znaczyć, że skrzydła mam niemal w kieszeni.

– Niemal – potwierdził Arkarian, jak zwykle czytając moje myśli. – Wystarczy, że wyszkolisz swojego Ucznia i z powodzeniem ukończysz następną misję, a otrzymasz skrzydła przed następnymi urodzinami.

– Świetnie! To cudownie, Arkarianie. Jak to przepchnąłeś?

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Chętnie przyznałbym sobie zasługę twojego awansu, Ethanie, ale sam na to zapracowałeś dzięki dobrej służbie. Teraz, kiedy to przyznałem, nie pozwól, aby ten sukces uderzył ci do głowy tak, jak skłonny byłbym się tego obawiać – spojrzał na mnie surowo. – Chcesz udowodnić, że jesteś godny tej najwyższej mocy, prawda?

Gwałtownie przytaknąłem.

– No jasne.

Wróciłem na stary stołek i starałem się siedzieć nieruchomo dostatecznie długo, by pokazać na pewno, że zrozumiałem, ale moja prawa noga nie chciała przestać podskakiwać. Położyłem dłoń na kolanie, żeby przytrzymać ją w miejscu.

– Czyli mówisz, że jeśli z powodzeniem wyszkolę tego Ucznia, mogę otrzymać skrzydła w przeciągu trzech miesięcy?

Jego wargi się nie poruszyły, ale oczy powiedziały wszystko.

– Jest w tym jakiś haczyk, prawda?

– Żadnego – zapewnił mnie szybko. – Ale bez wątpienia musisz się spieszyć... – skinął głową w kierunku holograficznej sfery z Pałacem Westminsterskim. – Do twojej następnej misji nie zostało dużo czasu.

– Ile go mam?

– Kilka tygodni.

Tygodni? Co Arkarian albo, skoro już o tym mowa, Trybunał, sobie wyobrażał? Wyszkolenie małego dziecka zajmowało lata. Tak było w moim przypadku. Pamiętałem niektóre z najwcześniejszych lekcji – Arkarian był wyrozumiały (ponieważ w tamtych czasach miałem dwie lewe ręce), ale nieustępliwy. Trenowaliśmy w najrozmaitszych salach, uczył mnie rzeczy, jakich większość ludzi nie nauczyłaby się przez całe życie, od samoobrony do samoświadomości. Ale upłynęły długie lata, nim Trybunał uznał mnie za dostatecznie biegłego, by można mi było powierzyć misję.

– Mam tylko kilka tygodni na przeszkolenie Ucznia?

Arkarian przytaknął.

– Ale to nie będzie tak trudne, jak sobie wyobrażasz. Pamiętaj, że przyszedłeś do mnie jako dziecko, to niezwykle przypadek. Twoja Uczennica jest lepsza, niż przypuszczasz. Wyszkolili się w dużej mierze sama – zaśmiał się, spoglądając na swoje smukłe, bezweczne dłonie. – To wręcz zaskakujące.

Nadal przetrawiałem ten kawałek, w którym mowa była o „Uczennicy”.

– Będę szkolić dziewczynę?

– Owszem.

– Ile lat ma ta dziewczyna?

– Piętnaście.

Nagle cały koncept szkolenia dziewczyny stał się niezwykle interesujący.

– O, serio?

Skinął głową z powściąganym uśmiechem.

– Jak się nazywa? Znam ją?

Milczał, a włoski na moim ciele zjeżyły się w napięciu oczekiwania.

– Nazywa się Isabel – powiedział cicho.

Było to niespotykane staroświeckie imię, ale nie obudziło we mnie żadnego skojarzenia.

Arkarian patrzył tak, jakbym powinien rozpoznać to imię albo przynajmniej tę osobę. Pomału gdzieś w głębi duszy zacząłem rozumieć. Isabel.

– Sądę, że słyszałem już to imię. Pamiętasz, kiedy byłem młodszy, miałem najlepszego przyjaciela, Matta. Jego młodsza siostra nazywała się Isabel. Ale mówiłeś, że moja Uczennica nie jest dzieckiem. A poza tym – szybko odsunąłem ten pomysł – Isabel, którą pamiętam, była złośliwą małpką i zakałą społeczeństwa. Zawsze łaźła za Mattem, Dillonem i resztą chłopaków, kiedy mieliśmy ważniejsze sprawy – budowanie fortecy w lesie, szukanie na złomowisku części do motocykli czy gra w rugby. Tego typu rzeczy. Na pewno nie o niej mówisz.

Arkarian wpatrywał się we mnie uporczywie, a na jego ustach błąkał się znaczący uśmiezek.

– Niemożliwe, Arkarianie. Mówię ci, że to nie może być ona. Isabel to mały szkodnik. Będzie nam tylko wlaźić pod nogi. Nie ma szans, żeby była dobrym materiałem na Strażnika. Musisz mi uwierzyć. Ta dziewczyna to jedno wielkie utrapienie. Musisz iść do Trybunału i wyjaśnić im. Tym razem musieli się pomylić.

– Kiedy po raz ostatni widziałeś Isabel? Kiedy po raz ostatni miałeś okazję rozmawiać z tą dziewczyną?

Spojrzałem w bok, próbując sobie przypomnieć.

W szkole mieliśmy łączone zajęcia z różnymi rocznikami, więc możliwe, że chodziliśmy razem na lekcje, ale przecież chyba bym ją zauważył. Przypomniałem sobie za to, jak wiele lat temu, kiedy Matt był jeszcze moim najlepszym przyjacielem, z kilkoma chłopakami wybraliśmy się popływać do Devil's Creek. Dzień był upalny, więc rozebraliśmy się do majtek. Nikt z nas nie zauważył, że Isabel przyszła za nami. Kiedy Matt spostrzegł siostrę wspinającą się na drzewo, skrzyczał ją za to, że za nami łaź. Reszta śmiała się i kpiła, że przyszła nas podglądać, aż mała zrobiła się czerwona jak burak. Zlazła z drzewa, rozwijając większą szybkość niż ferrari w Formule 1, i znikła w lesie. Wróciliśmy do skakania do rzeki z liny przywiązanej do gałęzi. Dopiero kilka godzin później, kiedy chcieliśmy wracać do domu, okazało się, że mała zaraza zabrała wszystkie nasze ciuchy. Matt wściekł się jak diabli, a Dillon wyszedł z siebie, obrzucając Isabel każdym znanym sobie przekleństwem, aż wreszcie Matt się na niego wkurzył i kazał mu się zamknąć. Musieliśmy jechać dwanaście kilometrów na rowerach ubrani tylko w mokre majtki.

Arkarian czekał na odpowiedź i przez moment nie mogłem sobie przypomnieć, o co mnie pytał.

– No tak, nie widziałem Isabel od kilku lat.

Obdarzył mnie jednym z tych swoich pełnych wyższości uśmiechów.

– Tak właśnie myślałem.

ISABEL

Byłam spóźniona. Oczywiście to nic niezwykłego. Jeśli się pospieszę, uda mi się zdążyć na autobus, jeśli nie – znowu będę szła piechotą. Szkoła to straszna strata czasu. Wolałabym być w górach i spuszczać się na linie ze stumetrowego urwiska.

– Isabel – rozległ się z dołu głos mamy. – Dziesięć minut! Zdązysz?

Mój brat Matt zaskoczył mnie w drzwiach sypialni. Opierał się o futrynę, potrząsając głową, i jak zwykle wyglądał na przepelnionego poczuciem wyższości i zadowolonego z siebie. Spoglądał na mnie z góry, ubrany już w szkolny mundur, z plecakiem przewieszonym niedbale przez ramię. Kiedy zdążył tak wyrosnąć?

– No jasne – powiedział sarkastycznie, wiedząc, że mama tego nie usłyszy. – Na pewno zdąży, mamusiu.

Po prostu chciał mnie wkurzyć.

Wypchnęłam go na korytarz i zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem. Wyciągnęłam rozmaite części szkolnego mundurka z szafy i, rozglądając się po pokoju za butami, wkładałam wszystko tak szybko, jak tylko mogłam. W na wpół zapiętej niebieskiej bluzce obróciłam się do lustra, pospiesznie związując włosy w wysoki koński ogon.

Kiedy otworzyłam drzwi, Matt nadal tam stał. Zaskoczona cofnęłam się kilka kroków. Odzyskałam równowagę i przepchnęłam się obok niego.

– Chyba ci się nudzi.

Ruszył za mną korytarzem.

– Nudziłoby mi się, gdybyś wreszcie umiała sama zadbać o siebie.

Jego słowa sprawiły, że obróciłam się na pięcie. Tak naprawdę nie powinnam być zaskoczona. Odkąd pamiętam, Matt zdecydowanie zbyt poważnie traktował rolę starszego brata. Kiedy byliśmy mali, a nasz ojciec odszedł, Matt postanowił przejąć jego obowiązki rodzicielskie. Na początku mi to nie przeszkadzało – umówmy się, byliśmy wtedy dziećmi i nawet imponowało mi zainteresowanie ze strony starszego brata. Ale szybko stało się to uciążliwe, a teraz, kiedy skończyłam piętnaście lat, jego dominacja była coraz trudniejsza do zniesienia.

Spojrzałam na niego z wściekłością, ale burczenie w żołądku powstrzymało mnie od podjęcia tematu. Zbiegłam na dół po dwa stopnie i pobiegłam wprost do kuchni. Poszedł za mną i stanął w drzwiach.

– Nie masz czasu na śniadanie. Dam ci pieniądze, kup sobie coś w szkolnym sklepiku. Coś zdrowego.

Zacisnęłam pięści, napinając wszystkie mięśnie, i rzuciłam mu najbardziej złowrogie spojrzenie, do jakiego byłam zdolna.

– Szalenie dziękuję, ale mam własne pieniądze. A teraz znikaj, zanim wypatroszę cię nożem do warzyw.

Obrócił się, ale nie mógł darować sobie zwykłego ostrzeżenia.

– Uważaj na ten nóż, jest nowy i piekielnie ostry.

Rany, doprowadzał mnie do szału!

– Dobrze, tatusiu.

Pożałowałam tych słów w tym samym momencie, w którym je wypowiedziałam. Matt popatrzył na mnie pociemniałymi, pełnymi bólu oczami i miałam wrażenie, że Ziemia nagle przestała się obracać, a czas zastygł pomiędzy nami. Nie pamiętałam ojca, ale z opowieści mamy wynikało, że Matt jednocześnie nienawidził go i uwielbiał. Tata często się upijał i stawał skłonny do przemocy, a potem zawsze przychodził do mojego brata i wypłakiwał mu się jak dziecko. Matt natychmiast mu wybaczwał, nawet jeśli na jego dziecięcych nóżkach pozostawały ślady paska. Przełknęłam ślinę i zaczerpnęłam głęboki oddech.

– Nie chciałam.

Skinął głową.

– Uważaj na ten nóż, dobra?

Wyszedł, a ja – jak we śnie – wzięłam jabłko, żeby przeciąć je na połówki, które zamierzałam zjeść w autobusie.

Ale reakcja Matta wytrąciła mnie z równowagi. Jabłko wyslizgnęło mi się z rąk, odsuwając na bok, a nóż przeciął opuszek palca. Krew polała się na ostrze i deskę do krojenia. Wbrew sobie pisnęłam z bólu. Oczywiście teraz, kiedy go potrzebowałam, Matta nie było. Złapałam papierowy ręcznik i owinęłam krwawiący palec, rzucając szybkie spojrzenie na skaleczenie. Było głębokie.

– Ekstra, pewnie założą mi szwy.

Mocno przyciskałam ręcznik, próbując zignorować ostry ból, promieniujący z przeciętego opuszka na całą dłoń.

– Zasklep się wreszcie, cholero. Zasklep się, zasklep, zasklep!

– Co znowu się dzieje? – zapytał nagle Matt od drzwi.

Rzuciłam papierowy ręcznik i wyciągnęłam rękę.

– No dobra, rozcięłam sobie palec!

Natychmiast podszedł.

– Pokaż. Pewnie przesadzasz.

– Chyba wiem, kiedy się skaleczę! Powiedz mi, od urodzenia jesteś taki nieznośny?

Ujął moją rękę, koncentrując się wyłącznie na oglądaniu palców. Wziął ją w swoje dłonie i odwrócił ostrożnie, przyglądając się uważnie pod różnymi kątami.

– Co ty wyprawiasz? – uświadomiłam sobie, że grymas Matta dowodzi raczej rozbawienia niż zaniepokojenia.

– Czemu się tak gapisz?

Prychnął i rzucił mi dziwne spojrzenie.

– Próbujesz sobie ze mnie zażartować, czy co?

– Co? – wyrwałam mu rękę i spojrzałam na nią kompletnie zaskoczona. Podniosłam dłoń na wysokość oczu, oglądając opuszek palca z każdej strony.

– Nie wierzę – mruknęłam. Nie było ani śladu krwi, a co dziwniejsze, nie było śladu skaleczenia.

Nic.

Uświadomiłam sobie, że zniknął także ostry ból. Opuściłam rękę, wciąż patrząc na nią z niedowierzaniem.

– To niemożliwe. – Mój głos był zaledwie szeptem.

Spojrzałam na brata. Musiał mi uwierzyć.

– Przysięgam, Matt, zacięłam się w palec.

Potrząsnął głową, śmiejąc się, jakbym była jakąś idiotką, próbującą zwrócić na siebie jego uwagę.

– Wiesz, czasem mi się zdaje, że jesteś równie dziwaczna, jak Ethan.

Poderwałam głowę, patrząc wprost na niego.

– Nie zamierzasz chyba znowu wyciągać historii Ethana?

Robił to bez przerwy, bo doskonale wiedział, co czułam do jego najlepszego przyjaciela (albo raczej byłego najlepszego przyjaciela), kiedy byliśmy małymi dziećmi. Jak bardzo nie próbowałam przekonać Matta, że dawno mi przeszło, bez końca drażnił się ze mną. Jediną pociechę stanowiło to, że Ethan – miejmy nadzieję – nie miał pojęcia, co czułam, kiedy jako dziecko włączyłam się za bratem i jego kumplami, szukając czegoś ciekawego do roboty. Nigdy nie byłam typem domatorki. Nienawidziłam zabaw w „herbatkę dla lalek” i „ubieranie Barbie”. Małe ubranka dla lalek, które nigdy nie chciały dobrze leżeć, sprawiały, że miałam ochotę wrzeszczeć. Wolałam wspinać się, skakać i biegać, co zostało mi do dzisiaj, chociaż ograniczyłam się do prawdziwego sportu. I nie łąziłam za Mattem przez te wszystkie lata tylko dlatego, że Ethan był z nim, chociaż mój brat upiera się, że tak właśnie było. Po prostu uwielbiałam robić te same rzeczy, które robili chłopcy. To wszystko.

Nie żeby teraz robiło to jakąś różnicę. Od lat nie wybrałam się nigdzie z Mattem i jego kolegami, a Ethan zapomniał już o moim istnieniu. Mieliśmy razem lekcje historii i przysięgłabym, że nie wiedział nawet, kim jestem. Ani razu nie zauważył mojej obecności.

Przeciągły warkot na zewnątrz sprawił, że Matt ścisnął moje ramię.

– Chodź już! Przyjechał autobus.

Szybko rozejrzałam się za jabłkiem, złapałam je z deski do krojenia, podniosłam rzuconą torbę i pobiegłam do drzwi wejściowych. Dopiero na zewnątrz popatrzyłam na częściowo przekrojone jabłko, które trzymałam w ręku. To, co zobaczyłam, zaskoczyło mnie tak, że owoc wypadł z moich palców, ogarniętych nagłym drżeniem. Ale nawet kiedy upadł na soczyście zieloną trawę, widziałam wyraźnie ciemnoczerwone plamy krwi na lśniącej skórcie.

Mojej krwi.

Ze skaleczenia, które nie istniało.



Premiera: 4 maja 2011